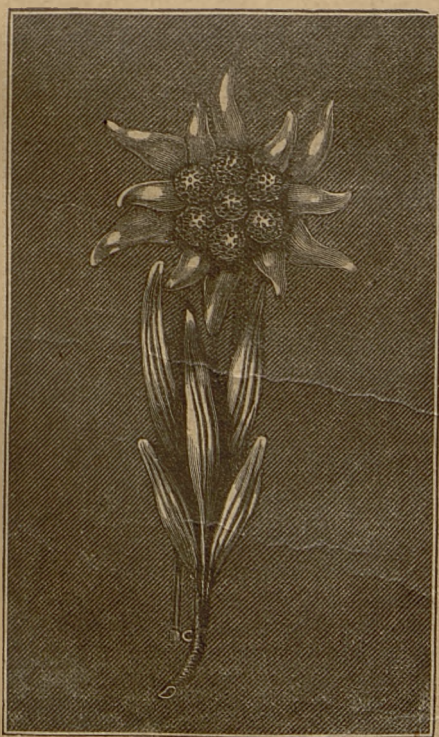




## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.  
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### KWIATY TATRZAŃSKIE.

Kto ma sposobność zwiedzić uroczę Tatry, powinien koniecznie przypatrzeć się ślicznym górskim kwiatom, których

tam pełno znajdzie i urządzić z nich zielnik; będzie to trwała i miła bardzo pamiątka podróży. Tyle już razy podawaliśmy czytelnikom naszym wskazówki, tyczące się zasuszania roślin i urządzania zielnika, że tu już tego powtarzać nie będziemy. Wymienimy tylko niektóre kwiaty, tatrzańskim okolicom właściwe, radząc młodym podróżnikom, aby ich poszukali.

Roślinność gór całkiem jest odrębna, na tych wyżynach nie spotykamy wielu najpospolitszych naszych tutejszych drzew i ziół, natomiast rosną tam inne, całkiem odmienne, które nie dają się przyswoić w miejscowościach niższych. I tak naprzykład w Zakopanem i innych wioskach tatrzańskich pszenica i żyto nie udają się wcale, górale zaledwie nędzny owies uprawiać tam mogą, to też nie jadają prawie zwyczajnego chleba, tylko placki owsiane i ziemniaki, grule, jak je nazywają. Nie dają się tam także hodować drzewa owocowe, osobliwością są gruszki, jabłka, śliwki i wiśnie, które zdaleka sprowadzać potrzeba, zato po lasach iglastych rośnie niezmiernie mnóstwo poziomek, i trwają przez całe lato aż do Września.

Ale szczególnie kwiaty tatrzańskie odznaczają się pięknnością niezwykłą, ze wszystkich zaś najmilszym może jest ten, który przedstawia nasza rycina. Kto tylko był w Zakopanem, ten poznał zapewne odrazu śliczną szarotkę, w terminologii naukowej *leontopodium*, co znaczy lwia łapa. Na czém zależy wdzięk szarotki, to trudno określić, nie ma ona, ani świetnej barwy, ani zbyt okazałego kształtu, a jednak kwiat ten matowo-biały, puszysty, każdemu się podoba. Nigdzie dotychczas, pomimo najtroskliwszych starań, nie udało

g wyhodować go w nizinach. W Alpach rośnie on także, wany po niemiecku *Edelweiss*, lecz tak go tam wyniszczono, żywiąc bez miary dla przyjemności turystów, że do wielkich osobliwości już dziś należy. W Tatrach można jeszcze znaleźć obfitość szarotek, a nie potrzebują nawet zasuszenia, bo nie więdną, podobne są z tego względu do tak zwanych jesniortelników. Szarotki należą do rodziny złożonych, blisko są spokrewnione z pospolitemi u nas kwiatkami, które noszą nazwę kocich łapek.

Na łąkach i polach tatrzańskich, zwykle pośród rzadkiego i nędznego owsa, mnóstwo obaczyć można jaskrawo różowych mieczyków, *gladiolus*; górale nazywają je cebulą dziką, bo mają korzeń cebulkowy. Po parowach, w zakątach pod lotami, rośnie wspaniały fioletowy tojad, *aconitum napellus* kwiatami w kształcie helmu, zwykle u nas po ogrodach hodowany. Wszędzie, na każdej łące, napotyka się przepyszne storczyki, kwiaty ich różowe lub lila, zazwyczaj w długie kłosa zebrane, wydają zapach mocny i przyjemny, zwłaszcza wieczorem po zachodzie słońca. Najładniejszy jednak i najposobliwszy jest storczyk kulisty, *orchis globulus*, jasno liliowe jego kwiatki, z kształtu do wszystkich storczyków podobne, zebrane są w główkę zupełnie kulistą dość dużą. Szkoda wielka, że piękne te storczyki z trudnością zasuszać się dają, bo kwiaty ich, o barwach delikatnych, są nadzwyczaj soczyste.

Najładniejsze, pachnące goździki znaleźć można na Gubałówce, niedużej górze pod samem Zakopanem. Kwiaty ich białe, różowe lub lila, są tak duże, tak ozdobnie postrzępione, że wyglądają na ogrodowe. Pełno tam także po łąkach ślicznych, dużych bratków trójkolorowych, któreby można wziąć za ogrodowe. Osobliwsze jeszcze kwiaty górskie rosną w pięknej dolinie Kościeliskiej; tam to w cienistych zakątach kryją się fiołki żółte, jedynie w górach znajdowane, mające kształt zupełnie taki, jak fiołki zwyczajne, różnią się tylko barwą cytrynowo-żółtą. Tam także w Kościeliskiej dolinie rosną, przytulone do nagiętej prawie skały, przesłiczne skalnice, do żadnych innych roślin niepodobne. Wyobraźcie sobie liście grube, skórkowate, delikatnie u brzegu ząbkowane, ułożone na skale w gęstą różyczkę, jakby naklejone na niej. Ze środka tej podstawy wznosi się wysoka, cienka łodyżka, głąbik raczej, tak nazywa się łodyga bezlistna, a u góry rozkłada się nieduża wiecha kwiatków białych, o woskowym połysku, oznaczonych drobnymi kropeczkami purpurowemi. Nic w tém wszystkiem niema tak nadzwyczajnego, a jednak widok tych wysmukłych, ładnych roślinek, ucepionych niepojętym sposobem do skały, dziwne na każdym wywiera wrażenie.

Kto zapaści się wyżej, na stoki Giewontu, napotka tam wspaniałą ostróżkę o dużych, szafirowych kwiatkach, zwykle po ogrodach pod cudzoziemską nazwą *Delphinium* hodowaną. Na wynioślejszych miejscach wyrasta także goryczka bezłodygowa, *gentiana acaulis*, która niepospolite miejsce zajmuje pośród kwiatów górskich. Kwiatek jej nie jest okazały, pełny przy samej ziemi, bo ma łodyżkę bardzo niską, ztąd nazwa jego pochodzi, korona, rurkowata u dołu, u góry rozłożona i na pięć kłapek rozcięta, ma barwę tak cudną lazurową, że z niczemi porównać się nie da. Najpiękniejsze bławatki wyglądałyby jak zakurzone przy goryczce górskiej, i ona tak samo, jak szarotka, trzyma się wyłącznie gór wysokich, sztuka ogrodnicza nie zdołała jej sobie przyswoić. Goryczka żółta, także górą właściwa i w Tatrach dość po-

spolita, wyrasta w duże krzaki, kwiaty jej w okazałe pęki są zebrane, korzeń gorzki ma własności lecznicze.

Na wysokich szczytach, w okolicy Zawratu, znaleźć można rzadki, ładny kwiatek, jaśnień alpejski, *soldanella alpina*, z rodziny pierwiosnkowatych. Korona dzwonkowata, błękitno-lila, ozdobnie jest postrzępiona, listeczki ciemno-zielone gładkie, jakby pokostowane. Nie skończylibyśmy tak prędko, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie kwiaty, Tatram naszym właściwe, szło nam tylko o to, aby zachęcić młodzież, która zwiedzać będzie te piękne okolice, do zwrócenia uwagi na bogactwo górskiej roślinności. Na zakończenie wspomnimy jeszcze o róży alpejskiej, a trzeba wiedzieć, że nazwa ta bywa dawana niewłaściwie różnym kwiatom, wcale do róż niepodobnym. Zowią tak naprzykład różanecznik czyli rododendron alpejski, a podobno i szarotkę mianują tak niekiedy. Tymczasem jest inna prawdziwa róża alpejska, rosnąca w Alpach, a także i w okolicach Zakopanego, znajdowaliśmy ją nawet we wsi samej nad strumieniem. Dzika ta różyczka tém się wyróżnia od innych, że nie ma wcale kolców, wbrew przysłowiu: niema róży bez kolców.

Prosimy wszystkich czytelników naszych, którzy się dostaną do Zakopanego, aby tam starali się odszukać przynajmniej te wszystkie kwiaty, któreśmy tu tak szczegółowo opisali.

M. J. Z.

## POZA DOMEM

POWIEŚĆ

przez Ludwika Niemojowskiego.

(Dalszy ciąg).

Otarłem więc łzy, płynące z oczu moich, myśląc, jak znaleźć zdołam środki do wydobycia się na zewnątrz.

O otwarciu drzwi ani myśleć nie mogłem; zawiasy trzymały mocno, zamek i rygle zasunięte były szczelnie, słabe zaś moje siły nigdyby nie podołały podobnemu zadaniu.

Obszedłem dokoła ową ciasną kryjówkę: gładkie ściany, z twardej cegły wymurowane, stanowiły nieprzebytą zapórę.

Zostawało okienko.

Wprawdzie wysokie jego położenie i żelazne kraty nie wielką dawały otuchę, ażebym przez nie wydobyć się zdołał, ale ponieważ nie pozostawało innego środka do ucieczki, postanowiłem popróbować tego ostatniego sposobu.

Z różnych rupieci, na wpół przegniłych desek, kawałków drzewa, urządziłem rodzaj wzniesienia, po którym z ciężkim trudem, podrapawszy dłonie, doszedłem aż do otworu.

Któż opisać zdoła moją radość, gdy owa krata, stanowiąca na pozór nieprzebytą zapórę, poruszyła się.

Widocznie deszczowe wody osłabiły z upływem czasu podmurowanie.

Jednem poruszeniem ramienia usunąłem tę przeszkodę. Otwór, jakkolwiek wąski, mógł jednakże wybawić mnie z niewoli. Włożyłem naprzód głowę, a potém, schwyciwszy rękami wystające haki, pełzałem powoli wśród ciasnej szczeliny.

Ćwiczenia gimnastyczne, których mnie cyganie wyuczili, przyczyniły się nie mało do ułatwienia tej trudnej przeprawy. Po kilku wysiłkach dokonałem swego.

Powierzchnia gruntu z tamtej strony dosięgała okienka, tak, że wyszedłszy z piwnicy, stanąłem równemi nogami na ziemi.

Z razu chciałem pobiedz do owych państwa i oddać się pod ich opiekę, ale oni pewnie byli w gościnnym pokoju, czyliż zatem idąc tam nie spotkam Wijardy, lub starego jej pomocnika?

Na samo wspomnienie podobnego spotkania, zimny dreszcz przebiegł po żyłach moich.

Nie, należało poczekać jakiś czas ukryty w krzakach, a gdy mieszkańcy karczmy usną snem twardym, dokonać swego zamiaru.

Tak też i uczynilem.

Przysiadłszy na trawie, wyglądałem niecierpliwie odpowiedniej chwili. Powoli światła błyszczące w oknach budynku zagasły, odgłos kroków służby, która zносиła z powozu rzeczy i łomoki przyjezdnych państwa, ustał, a głuche milczenie zapanowało dokoła.

Już miałem wyjść z mojego ukrycia, gdy szmer rozmowy zbliżających się ku mnie osób przerwał tę ciszę; mówiono po polsku.

Wstrzymując oddech w piersiach nadstawiłem uszu.

Trudno mi było dosłyszeć wymówionych słów, ujrzałem tylko wpółcieniu jakiegoś człowieka, prowadzącego za rękę małego chłopca.

— Tu pozostaniemy — rzekł pierwszy z nich — a nim nadejdzie stosowna pora do rozpoczęcia działania, powiem ci, co masz uczynić.

I obadwa usiedli na murawie o kilka kroków odemnie. Rzecz dziwna, trudna prawie do uwierzenia, znałem ten głos, a jednak nie był to dźwięk mowy żadnego z mieszkańców karczmi.

Nim miałem czas pomyśleć nad tą zagadkową okolicznością, nedorostek, odpowiadając swemu towarzyszowi, szepnął:

— Rachujcie na mnie, zrobię wszystko, co każecie.

Zdumienie moje nie miało granic: i ten drugi głos słyszałem niegdyś.

Tymczasem błąd promień księżyca, wybiegłszy z poza chmury, oświecił twarze nowoprzybyłych.

Poznałem w nich odrazu Bundrysa i Franka. Przypominacie sobie zapewne owego cygana, który mi dawał pierwsze nauki gimnastyczne; o toż ten to właśnie pomocnik samego herszta mówił do towarzyszącego mu wyrostka:

— Uważaj dobrze i zachowaj w pamięci każde moje słowo, ażebyś pominięciem jakiego szczegółu nie zepsuł całego interesu. W danej chwili, gdy już wszystko będzie przygotowanym do roboty, podkradniesz się pod ścianę izby, którą owi państwo zajmują. Wiem od Wijardy, że skobel słabo trzyma, otworzysz zatem ostrożnie okno i wejdiesz. Raz znalazłszy się w ich mieszkaniu, pochwycisz leżące na stole pistolety i wyrzucisz takowe na dwór; dostrzedz ci będzie je łatwo przy świetle księżyca. Potem należy tą samą drogą powrócić do mnie i innych, którzy wkrótce mają nadejść; resztę my już z łatwością dokończymy, gdyż bezbronni nie stawiają żadnego oporu.

Włosy powstały mi na głowie, zimny pot spłynął po czole, ale czułem, że w podobnym położeniu każda chwila jest srogą. Pokonawszy uczucie przestachu i zgrozy, jakie mnie ogarnęły, podniosłem się cicho z zajmowanego na trawie miejsca, i powoli, ostrożnie cofnąłem się w głąb lasu.

Rzykowałem bardzo wiele, jedno bowiem nieostrożne stąpienie mogło obudzić czujność cygana lub jego towarzysza, a wtedy okropny los mnie oczekiwał, lecz chęć wybawienia dobrych państwa z grożącego im niebezpieczeństwa wiała w me serce niezwykłą odwagę.

Na szczęście obydwaj nie domyślali się nawet, iż niewidzialny świadek słyszał ich rozmowę.

Gdym już odszedł o kilkanaście kroków, mogłem bez zwrócenia uwagi podejść ku karczmi; okrążywszy zatem dokoła miejsce, w którym pozostawiłem powierników wodza i pomagającego mu w niecnym zamiarach chłopaka, pobiegnę do wskazanemu oknu.

Objaśnienia, jakich Bundryś udzielił Frankowi, okazały się prawdziwemi. Niedbale osadzone w ramach okienko dało mi łatwe przejście.

Wszedłem powoli do wnętrza, trzymając się futryny nieostrzeżony przez nikogo.

W izbie zajmowanej przez przyjezdnych było cicho; widocznie wszyscy spali, w głębokim śnie pogrążeni, na stole leżały owe pistolety, o których cygan wspominał.

Mimowolne poruszenie krzesła wywołało stuknięcie, które rozbudziło śpiącego pana:

— Co to jest? — zawołał tenże, powstając ze swego posłania — ktoś chodzi po pokoju!

— Panie, nie mów tak głośno, bo wam grozi wielkie niebezpieczeństwo — szepnąłem po francuzku.

— A, to ty! — odpowie podróżny, poznawszy mnie przy księżycowym promieniu — zkądże się tu znalazłeś?

W kilku słowach opowiedziałem mu podsłuchaną rozmowę.

— Dzielny z ciebie chłopak; zawdzięczamy ci mójątek życia może, ale nie należy tracić chwili na próżno. Idź do stajni, rozbudź służbę, niech tu przybędą; ja tymczasem przygotuję żonę do czekającej nas przeprawy z tymi rozbójnikami.

Wypełniwszy dane polecenie, powróciłem wraz z stan-gretem i lokajem.

Pani już była ubrana, on zaś, opatrzywszy broń mówi:

— Ja będę udawał śpiącego, wy, Piotrze i Filipie, stanicie wśród ciemnych kątów w odwodzie, małżonka zaś moja wejdzie wraz z naszym małym wybawicielem do tego alkierzyka.

— Pozwól mi pan obok siebie pozostać, nie boję się niczego! — zawołałem z zuchowatą miną.

— Nie wątpię o twojej odwadze — przerwał łagodnym tonem — ale tutaj przeszkadzałbyś nam tylko, zamiast pomóc. Trudno przewidzieć, co wypaść może, dzieci zaś w podobnych sprawach stanowią zawsze zawadę.

Nim miałem czas odpowiedzieć, ta, którą uważałem za swoją opiekunkę, wciągnęła mnie do przyległego pokoiku.

Nastała cisza.

W parę minut potem usłyszeliśmy lekki szmer pod oknem: Coś zachrobotało i wnet małańka skulona postać zaczęła w jasnej smudze światła.

Był to Franek, który pelzając, niby wąż, po podłodze, postępował zwolna ku stolikowi.

Wyciągnął obie ręce, zaczął macać, pistoletów nie znalazł. Zdziwiony doznany zawodem, chciał raz jeszcze ponowić swoje poszukiwania, gdy przyjezdny pan, poskoczywszy nagle, chwycił go jedną dłonią za kołnierz, a drugą zatkał usta.

— Milcz, mały zbrodniarzu, nie śmieć ani słowa wy mówić!

Na dany znak, jeden ze służących związał mu łokieć trzymaną w rękach chustką.

Obezwładnionego chłopca rzucono na ziemię.

(d. c. n.)

## Z młodości Cyrusa.

Piękna, wesola Suzy okolica,  
Ale lud chodzi z smętnemi oczyma,  
Ale niewiasty łzami rosą lica,  
Bo Med w niewoli perską ziemię trzyma.

W około Suzy łąki są zielone,  
I góry szczytem ku niebu strzelają,  
Ale mieszkańców źrenice spuszczone,  
Bo Meda stopy ziemię ich kalają.

Pół Assyryjczyk \*) choć pokrewny z mowy,  
Obyczajami Babelu zhańbiony,  
I z krwią Assura od wieków złączony,  
Med rzucił górą żelazne okowy.

Krwia zalał drogi i żyzne pastwiska,  
Cieniami mężów zaludnił więzienia,  
Niewiasty podał w srom urągawisku,  
A ziemię skazał na pastwę zniszczenia.

Góry zadrżały: „Persowie! Persowie!”  
Jeśli to krzywda i nędza was boli,  
A wstyd nie pali, i hańba niewoli,  
To los wasz słuszny! Depczcie ich, wrogowie!!  
Już nie wesołe Suzy okolice —  
Łąki zniszczone, zdeptane pastwiska,  
Jeszcze smutniejsze matki i dziewice,  
Nawet z ócz mężkich nieraz łza wytryska.

Już nie wesołe... Ale tam w lazurze,  
Słońce swobodniej i żywiej jaśnieje  
Niż za tych życia co w najazdu chmurze,  
Ducha stracili... Słońce śle nadzieje.

O perskie słońce! \*\*) Ty co wieków tyle  
Patrzysz na modły do Bóstwa noszone,  
Ty widzisz chłopię wzrastające w sile  
Przez które będą okowy skruszone.

Ty widzisz jego jaśniejące czoło,  
Miłość i prawdę w jego oku lśniącej,  
I serce dumą szlachetną bijące,  
I karne dzielnych rówieśników koło...

„Cóżto? cóż to? towarzysze?  
Między wami kłótnia wre?...  
Odgłos kroków Meda słyszę —  
Patrzcie, jak on śmieje się!  
Artafernes krzywdził Zora?  
Niech naprawi krzywdę wraz —  
Zorze — gniewać się nie pora —  
Cicho... Med podsłucha was.

A tam znowu sprzeczka inna,  
Tam na dobre walka wre?  
Cóż wam ziemia wasza winna?  
W imię Persyi zgódźcie się!  
I cóż?... idzie wam o sępa?  
Czyj go trafił celny strzał?  
Weźcie łuki — tam gdzie kępa  
Pobiegijcie oba w cwał.  
Patrzcie, w tę gałązkę małą,  
Meda niech przedstawi wam...  
Kto w nią trafi, zerwie całą,  
Temu zaraz sępa dam.

Kambyzes usiadł \*\*\*) — modlitwa skończona  
I dzienną pracę już trudy zamknięte,  
Ale on czuwa gdy ziemia usypiona,  
Bo syn go pyta o te księgi święte  
Co Zarahustra \*\*\*\*\*) zapełnił natchnieniem —

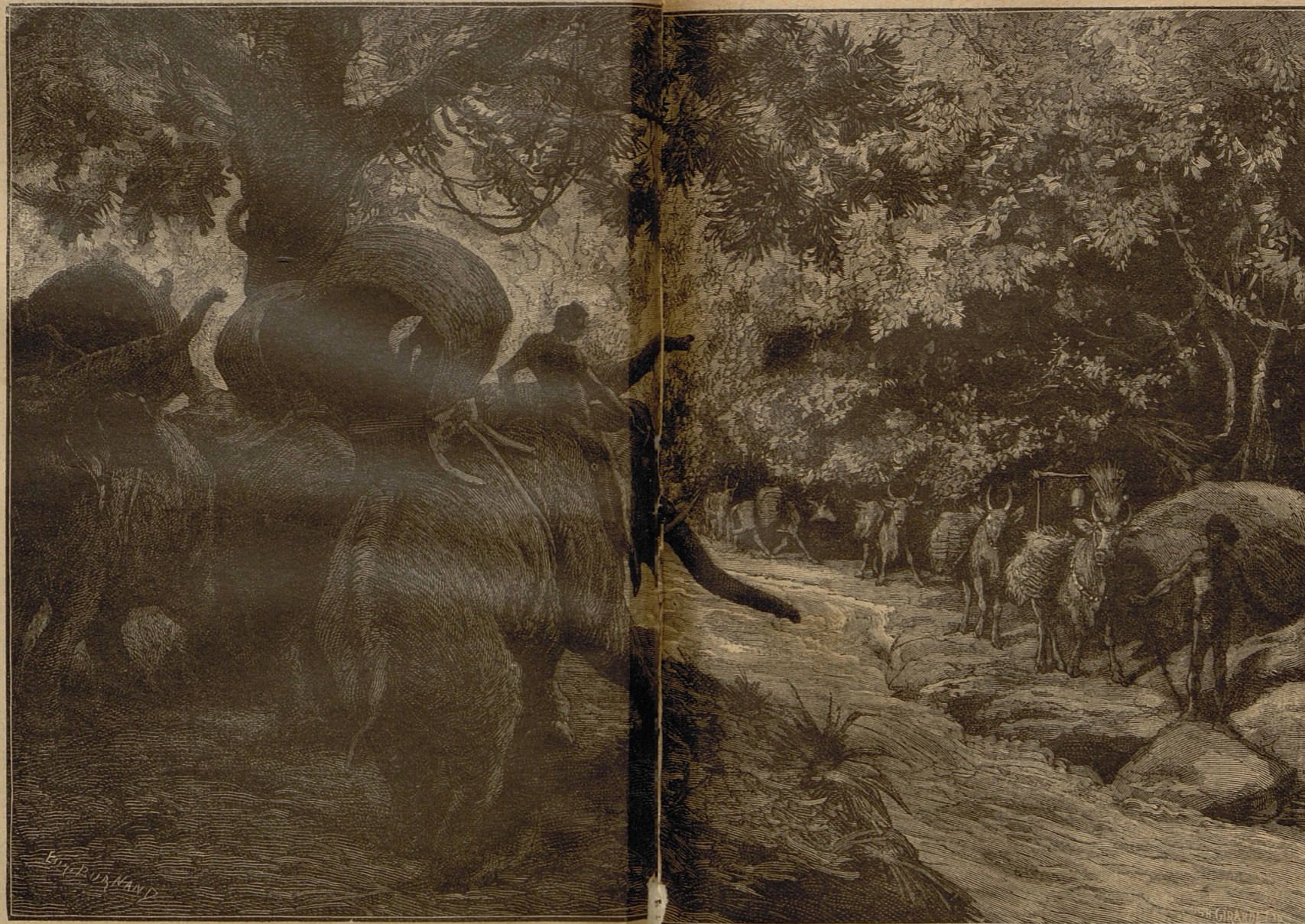
\*) Babilończycy i Assyryjczycy byli Semitami, i w blizkości z sobą szczepowem pokrewieństwie. Medowie lubo byli Aryowie jak Persowie, w skutek długiej niewoli silnie się pomieszali z dwoma wyższymi wymienionymi ludami i przejęli zniewieściale a zarazem despotyczne ich obyczaje.

\*\*) Pierwotni Persowie czcili słońce jako siedlisko Boga, wielobóstwo dopiero później spaczyło ich wiarę, aż w końcu zaczęli przejmować bożków i obyczaje podbitych Babilończyków.

\*\*\*) Ojciec Cyrusa miał imię Kambyzes.

\*\*\*\*\*) Zarahustra, właściwie nazwisko perskiego zakonodawcy. Zoroaster jest przekręceniem.

Lub starych pieśni słucha z rozrzwiniem,  
Lub — to najczęściej — o praoców pyta  
Których krwią świętą ta ziemia obmyta.  
A gdy już ciemność zalega w około,  
Gdy ojciec do snu gnie stroskane czoło,  
Nieraz pacholę idzie w dal i słucha  
Tęsknego szeptu gór ojczystych ducha,  
Co go o wolność błaga w nocną ciszę,  
Aż go marzeniem do snu ukolysze.



Słonie i bawoły.

Że towarzysze królem zrobiają ciebie,  
Zdając zabawy swoje na twą wolę? \*)

Czy o tém może, że gdy wzrośniesz w męża,  
Staniesz wśród swoich, w zwycięstwa koronie,  
Z berłem ukutem z krwawego oręża,  
Na wolnej Persyi jaśniejącym tronie?...  
M. L.

gię prowadzą objuczone bawoły. Olbrzymie rozniary słoni najlepiej ocenić można, widząc je obok bawołów, które także przecież większe są znacznie od naszych wołów.

## List do towarzyszek ze wsi.

### V.

Kochane siostrzyczki! Wracam z procesyi Bożego Ciała i jeszcze bije mi serce — takiego doznałam wrażenia. Cóżto za cudowna uroczystość! nie wiem, czy wy na wsi wystawicie sobie coś podobnego możecie!

Tłum jest tak wielki, że niepodobna iść wciąż z procesyą, ale w tym roku wybornie nam się udało, bo dostaliśmy miejsce w pałacu hr. Krasieńskiego, gdzie jeden z ołtarzy ubierają. Cały przedsiönek pałacowy objają na ten cel wspaniałymi gobelinami i aksamitnemi, złotem haftowanymi draperiyami, trzeba widzieć to bogactwo, żeby powziąć o niem wyobrażenie. W ołtarzu obraz Matki Bożkiej Częstochowskiej, a po bokach wielkie piękne obrazy mistrzów włoskich, przed którymi słusznie naszej przenaświętszej Częstochowskiej Panię dano pierwszeństwo.

Patrząc na piękne makaty, które okrywały może ściany komnaty Zygmunta Krasieńskiego, mego ukochanego poety, mówiłam za niego wieczny odпочunek; a wiecie za kogo jeszcze? Oto za ową nieszczęśliwą królewiczkę Franciszkę Krasieńską, o której Hofmanowa taki śliczny napisała pamiętnik.

Ale jakże daleko odbiegłam od procesyi Bożego Ciała, słusznie mnie łają nauczycielki, że nie umiem porządnie napisać ćwiczenia, bo coraz o inny zaczepiam przedmiot. Powiedziałam raz na moje usprawiedliwienie, iż to jest bogactwo myśli, ale brat wyśmiał mnie, dowodząc, że mniemane bogactwo to tylko brak ładu w głowie, zwyczajnie jak u piętnastoletniego trzpiota. Znow ten trzpiot! Kiedyż ten przydomek stracę?

Otóż teraz będę pisać bardzo porządnie. Byłam już trochę zmęczona czekaniem, przyznaję pochichu, bo długo na jednym miejscu posiedzieć nie mogę, kiedy nagle dały się słyszeć bębny a potem uroczysty śpiew i zdaleka ukazała się procesya. Nie widziałam nic równie wspaniałego. Tysiące ludu zalało całą tę część miasta, było to morze głów płynących jak fala ku ołtarzowi, u stóp którego stałyśmy. Wszystkich serca i usta śpiewały pieśń na cześć Boga, tłum szedł zgodnie a prowadził go biskup. Niesiono przed nim pastorał na znak, że jest pasterzem tej gromadki, nad którą czuwać ma obowiązek.

Nie potrafię wam opisać mnóstwa dziewcząt w welonach, biało ubranych, niosących obrazy i chorągwie, gromadka małych, jak aniołki wyglądających dziewczynek rzucała kwiaty, Siostry Miłosierdzia, na których widok przykłęknąć zawsze mam ochotę, niosły zapalone świece, a szerokie wyłogi białego ich okrycia głowy powiewały, jak gdyby na tych skrzydłach wprost się do nieba wzniesić były powinny. Kilkunastu księży we wspaniałych ornatach poprzedało biskupa, mnie serce biło jak młotem, dziękowałam Bogu, że zstąpił tu między nas i że na jego przyjście ucichł gwar i hałas zwykły dużemu miastu, a wszystkie serca cieszą się chwałą swego Stwórcy.

Mama mówiła potem, że w Wiedniu widziała procesyą Bożego Ciała dużo wspanialszą, bo tam idzie za baldachimem cesarz i cesarzowa, w orszaku wszystkich dygnitarzy dworu

## SŁONIE I BAWOŁY.

Wyspa Cejlon obfituje w zwierzęta ogromne i silne, nigdzie nie ma tyle słoni, tyle bawołów, tam to właśnie odbyło się to świetne polowanie na słonie, o którym wspomnieliśmy niedawno. Rysunek nasz przedstawia krajobraz na wyspie Cejlon. Z jednej strony krajowcy jadą na słoniach, z drugiej

\*) Wiadomo powszechnie, że małego Cyrusa towarzysze zabaw królem obrali, przy której to sposobności dal się poznać swemu dziadkowi Astyagesowi królowi Medów.

I zasnął Cyrus u stóp nagięj skały —  
Ojczysty kamień głowę mu podpiera,  
Orzeł gór perskich na niego spojiera,  
A czuwa nad nim... przyszłość perskiej chwały.

I zasnął Cyrus — a matka śpi w domu?...  
Czyż matce lwiątko obawiać się godzi?...  
Ono lwem w chwili kiedy się narodzi...  
Śpij, śpij pacholę u kamieni złomu...

O czém ty marzysz natchnione pacholę?  
O tém że jutro wstanie świt na niebie?

bardzo wierzę, że to musi prześlicznie wyglądać, stroje całe błyszczą diamentami, my biedacy tylko kwiaty ofiarować Bogu możemy, kwiaty i lzy, niech one mówią za wspaniałość, której przy naszej procesyi brakuje.

A teraz, moje drogie, odrazu zacznę wam opowiadać o Wystawie, bo ta dziś najwięcej zajmuje Warszawę.

Nazywa się „wystawą higieniczną,” gdyż ma przedstawić przedmioty odnoszące się do zdrowia, ale jest na niej mnóstwo i innych, a wszystko razem bardzo ładnie ułożone, śliczne pawilony tworzą jakby osobne miasteczko, dwie muzyki grają naprzemian; jedna z nich szczególnie mi się podobała, są to młodzi parobcy z Lubelskiego, ubrani w białe sukmany, przyśpiewują sobie ochoczo, miło patrzeć na naszych dziarskich chłopków, aż chęć bierze wyskoczyć w takt granego przez nich mazura.

Ale skakać w Warszawie nie wypada, zwłaszcza piętnastoletniej panie, powiedziano by znów, że t...., udaję więc bardzo rozsądną osobę i idę przypatrywać się jak drudzy.

Wiecie co najpierw zobaczyłam? Wystawcie sobie, że nurka!

Czy to ma być higienicznie chodzić pod wodą nie wiem, ale to pewna, że mnie niezmiernie zajął ten nurek. Ma na głowie mosiężny przyrząd zupełnie do samowara podobny. Przez wprawione weń szkiełko widzi wszystko, co się około niego dzieje, rurkami odbiera powietrze, którym oddycha pod wodą. Resztę ciała pokrywa ubranie gutaperkowe, nieprzepuszczające wody; tak ustrojony spuszcza się do sadzawki umyślnie dla niego urządzonej i bardzo szybko wydobywa z jej dna małe pieniążki, rzucane mu tam przez patrzących.

Właśnie mieliśmy iść ku głównemu pawilonowi, kiedy spotkała nas panna Marya Werychówna, ta sama, o której pisałam wam w liście ostatnim, była tak uprzejmą, że pokazała nam całą wystawę pedagogiczną, to jest wszystko to, co z wychowaniem dziecka jest wspólne.

Trudno opowiedzieć o wszystkim co się widziało, ale patrząc na te stopniowe rozwijanie się maleństwa, brała mnie ochota zostać nauczycielką, bo powiedźcie same, czy to nie rozkosz uczyć, mając pod ręką takie wzory. Sposób wykładania dzieciom botaniki, zoologii i innych nauk przyrodniczych jest nadzwyczajnie przystępnie przeprowadzony; w jednej sali np. ściany całe pokryte są tablicami, na których przyklejone ziarna i kłosa rozmaitych roślin służą do nauczania dzieci, jaki z nich pożytek ludzie osiągnąć mogą. Widziałam w tejże samej sali, na półkach dochodzących aż pod sufit dużo pedagogicznych, tak zwanych zabawek froeblovskich, i te, przyznam się wam w sekrecie, bardzo mi się podobały; byłabym się im z pewnością przypatrywała dłużej, gdyby nie obecność mego brata, który uśmiechając się szyderczo byłby mnie pewnie w dalszym ciągu jednem wam znanem epitetem obdarzył; ale na szczęście w sam czas się spostrzegłam, a schowawszy ciekawość do kieszeni z heroizmem, nie obejrzawszy się nawet, podążyłam za moją mamą.

Rozmyślając nad tém wszystkim, weszliśmy następnie do głównego pawilonu, w którym znowu chwilę zatrzymać się musimy. W tym pawilonie głównie zwracają uwagę modele sal operacyjnych, przedstawione przez szpitale i lekarzy Warszawskich. Brrr... Jeszcze teraz mnie dreszcz przejmie, ile razy sobie przypominę to wszystko; choć wiem dobrze, że te straszne przedmioty są jedną więcej oznaką postępu ludzkiego na polu medycyny, byłam bardzo zadowolona, kiedy mama odwoławszy mnie weszła do pokoiku, w którym doktor Bujwid tłumaczy w jaki sposób bakterye wściekliczny wszczepione w królika na zasadzie teorii doktora Pasteura, szkodliwymi być przestają. Przysłuchiwałam się temu z wielkim zainteresowaniem, bo czyżby to nie było szczęśliwie, gdyby tak straszną chorobę jak wściekliczna wyleczyć można?

Idąc do pawilonu spożywczego, przeszliśmy przez tunel kanalizacyjny, który zupełnie zrobił mi wrażenie podziemnego lochu. Jest on bardzo szeroki, tak, że trzy osoby jedna

przy drugiej z łatwością w nim stanąć mogą. Powiadają, że gdy kanalizacja w Warszawie przeprowadzona zostanie, wpłynie to niezmiernie na zdrowotność miasta; ale podobno nie tak to prędko jeszcze nastąpi, bo roboty kanalizacyjne są bardzo kosztowne i przeto powoli postępują.

W pawilonie spożywczym widziałam dużo rzeczy, które mnie bardzo zajmowały i przy tej sposobności przekonałam się, że towarzyszyć nawet tak sprzecywny jak mój braciszek czasami na coś przydać się może. Żebyście widziały, z jaką poważną miną tłumaczył mi to wszystko, co w zakresie chemii wchodzi, jak np. rozkład chemiczny piwa, wina, herbaty, cukru i wielu innych jeszcze spożywczych materiałów; był w takim oratorskim zapale, że chociaż kilka osób zebrało się wokół nas, słuchając go z zajęciem, on zwykle bardzo nieśmiały nie przerwał swego wykładu. Pomyślcie sobie jak byłam z niego dumna! Przejęta wielkością roli, którą odgrywałam jako siostra tak rozumnego chłopca, nie spostrzegłam nawet wcale kiedy mama z całym naszym towarzystwem wyszła z sali. Prędko więc potem przejrzałam resztę znajdujących się tam przedmiotów, mianowicie dużo okazów z gospodarstwa wiejskiego, między którymi było kilka gatunków bardzo dobrze wyglądających serów, a które w części może są waszém dziełem, kochane moje koleżanki ze wsi.

Przed opuszczeniem wystawy zatrzymaliśmy się przed kioskiem, w którym grała orkiestra wiejska Namysłowskiego, ale tym razem nie ona zwróciła naszą uwagę, lecz gipsowe figury otaczające niewielki placik. Przedstawiają one temperamenta ludzkie pod postaciami czterech, bardzo zabawnych jegomościów: melancholika, cholerycznego, sangwinisty i flegmatyka. Patrząc na nich myślałam sobie: jak to dobrze, że nie jestem jeszcze dorosłą panną, bo po dzisiejszej bytności na wystawie w żaden sposób nie zdecydowałabym się pójść za męża, nie—nigdy, bo mogłabym natrafić na człowieka mającego podobne usposobienie do którego z tych jegomościów, tak śmiesznie przedstawionych.

Skończywszy rzecz o wystawie mającej na celu zdrowie, przechodzą mi na myśl kolonie letnie dla ubogich dzieci, o których już wiecie dobrze, bo jak mi mówiono, w rokueszłym zasilaliście je waszemi ofiarami, kochani czytelnicy. Moi drodzy, mieszkając na wsi, nie możecie mieć nawet pojęcia jak przykrym jest widok biednych miejskich dzieci, w największe skwary pozostających w Warszawie; chude, mizerne, zmęczone całodziennym upałem, siedzą one w ciasnych i dusznych podwórzach i nawet odetchnąć świeżem powietrzem nie mogą, bo dla porządku, do publicznych ogrodów nie wolno puszczać bosych, obdartych dzieci; jak żeby to Pan Bóg nie dla wszystkich ludzi stworzył drzewa i kwiaty, a prze cież tym biedakom, którzy całe życie ciężko pracować będą na kawałek chleba, więcej jeszcze niż nam potrzeba zdrowia i siły. Po kilkaset tych dzieci, dzięki ofiarności serc miłośniernych, co rok wyjeżdża na wieś na letnie miesiące, a tan świeże powietrze, zdrowy pokarm, ciągła opieka i moralny wpływ zamieniają biedne, nędzne stworzenia w zdrowe i do brze wyglądające istoty. Wyobraźcie sobie tylko wdzięczność jaką odczuwają rodzice tych biedaków dla tych wszystkich którzy choćby najskromniejszym datkiem przyczyniają się do wysyłania ich dzieci na wieś, bo wracają one różowe i wesole. Słyszałam też, jak mówiła mama, że takie dziecko, pozostające przez parę miesięcy pod okiem ludzi poczciwych a jedynie nim zajętych, wnosi do ubogiej sutereny swoich rodziców pewien zasób szlachetniejszych instynktów i myśli, które pod naciskiem biedy i głodu, nigdyhy się może rozbudzić nie mogły. Pamiętajcie więc, moi drodzy, o tych biednych dzieciach zarówno w roku bieżącym jak i w przeszłym, najdrobniejszą nawet ofiary chętnie przyjmować będziemy czy to w pieniądzech czy w starém ubraniu, bo i tego tu brak nieraz gdy j na wieś wyprawiać przyjdzie.

I cóż wam jeszcze opowiem? Smutno się teraz Warszawa przedstawia; dużo osób się już rozjechało na lato a ciągle śloty i zimna nie pozwalały dotąd użyć spaceru p naszym ślicznym botanicznym ogrodzie i Łazienkach.

Może gdy za dni kilka wyjadę na wieś, uśmiechnie się pogoda, nim to nastąpi, muszę was pożegnać na czas jakiś.

Wasza Zosia.

## BOHATER TEBAŃSKI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW STAROŻYTNYCH

z niemieckiego naśladowana,

PRZEZ Zofię Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

— Ośmieliłem się przeszkodzić ci, ojcze, bo ważne mam ci donieść wiadomości — rzekł z pokłonem Nekao.

— Mów, synu, — odparł Psametyk.

— Wiem, że postąpiłem nierozważnie i z ubliżeniem mojej godności, stając do walki z Amazysem, a jednak popychany byłem naturalnym i szlachetnym uczuciem, chcąc zgładzić tego młodzieńca. Czy wiesz, ojcze, że ten, którego łaską swoją wyniosłeś, to najniebezpieczniejszy współzawodnik naszego rodu, to syn Hophry, ostatni potomek Bubastydów!

— Oczy Faraona zabłysły dziwnym ogniem. Domysł był więc prawdziwym i wiedzieli o nim inni już prócz niego.

— Zkąd masz tę wiadomość? — zapytał syna.

— Złe, o królu, sądzisz o mnie, jeśli przypuszczasz, że dzień i noc nie czuвам nad twém bezpieczeństwem. Mam stosunki w świątyni Ammona i znam pochodzenie Amazysa, bo kapłani nie ukrywają go teraz, chcąc zapewne zrzucić z siebie posądzenie, że wychowywali Bubastyda z szczególniejszym jakimś zamiarem.

— A jaki był ten zamiar, jak sądzisz synu? — zapytał Faraon.

— Zuchwałością jest odzywać się przy tobie, ojcze, ale rozkazujesz, więc mówię. Kapłani życzą sobie powolnego prawom monarchy, a takim ty, o królu, wsparty zwłaszcza grecką potęgą nie będziesz nigdy.

— Prawom? powiedz raczej posłusznego skinieniu kapłanów, a takim ja nigdy nie będę — dodał z dumą Faraon.

— Dla tego też przysposobili ci następcę, wychowując Amazysa, który dziś jeszcze stanąć ma na czele narodowego wojska — szeptem prawie wymówił te słowa Nekao, drząc przed gniewem ojca.

Psametyk jednak nie uniół się. Patrzył długo przed siebie, jakgdyby zbierając myśli dla dania ostatniej odpowiedzi księciu, nareszcie wyrzekł spokojnie:

— Wielka jest mądrość twoja synu, i wdzięczny ci jestem za przestrożę. Ty i kapłani świątyni Ammona chcecie zapewnić szczęście Egiptu, o tem nie wątpię, ale nie znacie niebezpieczeństw, jakie mu grożą bo nie przebiegliście go od północy na południe, jak ja, nie wiecie więc, że mogą przyjsć ztamtąd ludy, przeciw którym doświadczonego postawić trzeba rycerza, i dlatego niepowniśmy zrażać sobie Greków. Ale i oni nic nie pomogą, jeśli nie będzie jednoci pomocy z nami, to też żądam posłuszeństwa i ufności bezwzględnej.

Amazysa się nie lękam, bo jest szlachetny, a dusze szlachetne wiążą się pomiędzy sobą, on mnie zrozumie i nie da się użyć za narzędzie intrygi. Ty zaś, synu, pamiętaj, że ręka moja dosięgłaby cię w razie, gdyby coś złego spotkać go miało.

Nekao wyszedł skłoniwszy się głęboko. Na jego miejsce przywołany rozkazem Psametyka stanął Amazys.

Król patrzył z rozrzwienieniem na smętną postać młodzieńca, szukał w niej podobieństwa do ukochanego Hophry.

— Jeszcze nie odtęskniłeś się za twymi uczonymi mistrzami, chłopcze, cóż mam zrobić, aby wrócić ci wesołość?

— Nie tylko tęsknota do tych, którzy mnie wychowali, jest mego smutku powodem, o królu, więcej niż to dręczy mnie myśl, że nigdy nie odkryję mego pochodzenia. Znali je

kapłani i stary Sonehis obiecywał mi wyjawić tajemnicę w nagrodę postępów czynionych w naukach. Tu na każdym kroku czuję się upokorzonym, bo żyję w otoczeniu młodzieńców, którzy słusznie chlubią się swymi rodzicami, a ja moich znać nigdy nie będę, i to mówiąc zasłonił Amazys twarz rękoma, jakby chciał ukryć swój wstyd.

Ale Faraon chwycił ręce młodzieńca i patrząc mu prosto w oczy, wymówił powoli: — Amazysie! ja ci powiem, kto jesteś. Królewska krew płynie w twych żyłach, krewnym moim masz prawo się nazywać, bo pochodzisz z książęcego rodu Bubastydów. Ojcem twoim był wielki Hophra, a matką siostra mojej ukochanej Tai, mojej pierwszej, najdroższej małżonki.

Postać młodzieńca zdawała się rosnać przy tych słowach, patrzył na Psametyka wielkimi nieruchomemi oczyma, ale ten mówił dalej:

— Amazysie, synu Hophry, bogowie stawiają cię dziś na rozstajnych drogach, z pomiędzy których sam masz wybierać. Włos mój posiwił na usługach Egiptu, a hełm stary go zupełnie na skroniach. Życie całe poświęciłem ojczyźnie, bo chciałem uczynić ją wielką i sławną. Spojrz na mnie i powiedz, czy kochasz swój kraj i swego króla tak, żeby dla nich zapomnieć o swoim pochodzeniu i zaufać mi, że uczynię cię wielkim i pierwszym pomiędzy wszystkimi? Jeśli jednak ci to nie wystarczy, jeśli krew Bubastydów, mająca też same co moja do tronu prawa, zwycięży miłość dla kraju, któremu wspólnie służyć powinniśmy, w takim razie powiedz to otwarcie i idź swoją drogą śmiało, bo nie zastąpię ci jej podstępnie i lękać się mnie nie potrzebujesz. Spotkamy się zapewne raz jeszcze na polu bitwy, a wtedy miecz roztrzygnie pomiędzy nami, i bogowie wybiorą tego, który większą chwałę Egiptowi zapewnić potrafi.

Dziwnie brzmiały te słowa w ustach Faraona. Amazys, przyzwyczajony patrzeć na niego jak na pół bożka, który marmurowe tylko oblicze ukazywał poddanym, słuchał ich z głębokim wzruszeniem. Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Natury ich powinny się być zrozumieć, bo różni byli urodzeniem, dumą, szlachetnością, i wielkością poglądów, które chociaż drzemały dotąd w piersi młodzieńca, obudziły się teraz nagle w obec samowiedzy swego położenia.

— O Faraonie! — odezwał się nareszcie Amazys — bogowie uczynili cię królem i działałbym wbrew ich woli, stając przeciw tobie? Wspaniałomyślności twojej zawdzięczam życie, którego mogłeś mnie pozbawić, miałżebym tego kiedy zapomnieć? Od dzieciństwa uczono mnie, że zadaniem Faraona jest uczynić Egipt szczęśliwym, a ja miałbym być przeszkodą w twoich zamiarach? Syn Hophry poświęć życie całe na usługi kraju pod twojemi rządami, tak samo jakby to był uczynił nieznany Amazys, którego łaską swą wywyższyłeś.

Na te słowa podniósł się dumny monarcha ze swego tronu i uściskał szlachetnego młodzieńca.

#### IV.

W obozie Amonorytiusa. — Napad Pauntów. — Walka Amazysa i Agezylausa z Meheditem. — Pieśń hamfiarza. — Zdrada dowódcy.

Na południowej granic Egiptu, gdzie szereg warowni broni kraj od napaści sąsiadów, słońce chyli się ku zachodowi. Małą karawanę, złożoną z kilku wielbłądów, poprzedza dwóch jeźdźców, których wojenny rynsztunek zupełnie różniła pomiędzy sobą. Różni ich także i powierzchowność. Młodszy, to typ egipski i taki też strój nosi na sobie, starszy, widocznie cudzoziemiec, o białej twarzy, cały uzbrojony, na hełmie jego powiewa długa kolorowa kita z końskiego włosia.

Z namiotów stojących opodal drogi wyszło dwóch wojowników i zatrzymało karawanę.

Rozmowa zawiązała się pomiędzy wojskowymi. Nowoprzybyli dowiedzieli się że główny obóz Amonorytiusa znajduje się w górach, i że udało się dowódcy egipskiego wojska otoczyć tak króla Pauntów, iż ten wkrótce poddać się będzie musiał

— Przybywamy w sam czas, — odezwał się wojownik o białej skórze, w którym z łatwością Greka poznać było można.

— Przybywacie zapewne z Teb — zapytał oficer egipskiej granicznej straży.

— Jedziemy aż z Sais, gdzie obecnie znajduje się Faraon — odpowiedział Grek.

— A z Faraonem jest zapewne i wasze greckie wojsko, podczas kiedy my, jego lud poniewieramy się tutaj w dzikiej pustyni.

— Jońskie i karyjskie oddziały służą wiernie Psametykowi i znajdują się z nim w Sais — odparł z dumą grecki rycerz, a widząc błysk nienawści w oczach Egipcjanina, dał znak karawanie i ruszono dalej. Dwa długie dni wlekli się jeszcze przez góry zanim doszli do miejsca, gdzie zostawić musiano wielbłądy, resztę drogi odbywając pieszo, co było koniecznością, po niedostępnych górach.

Ukazał się nareszcie obóz Amonorytiusa. Podróżni z radością oczekiwali chwili, gdy wolno im będzie rozgościć się i odpocząć. Straż zatrzymała obu.

— Przychodzimy z rozkazu Faraona — powiedział z godnością młody Egipcjanin — i chcemy pomówić z wodzem.

— W tej chwili wyruszył on na wycieczkę przeciw Pauntom, bo spodziewa się ostateczną stoczyć bitwę.

— Nie spotkaliśmy nigdzie nieprzyjaciela, widać Amonorytius dzielnie wymiata przed sobą i za sobą, szczęśliwy Faraon, że posiada taką miotłę — dodał z pochlebstwem Grek.

— Tak, nie zostawia on za sobą nic do zrobienia. Dzikie Paunt nie ma teraz wyboru, musi się poddać lub umrzeć z głodu, bo wszystkie drogi do odwrotu odcięte — rzekł z dumą dowódca egipskiej straży.

Tymczasem dał się słyszeć zdaleka głos trąby, ruch żołnierzy, stojących na wschodniej stronie warowni, zwrócił uwagę przybyłych. Obeznani z sygnałami wojennymi poznali, że dowódca wraca do obozu i udali się też w tamtą stronę. Wprowadzono ich przed naczelnego wodza.

Leżał na łwiej skórze, w nędznej, niskiej chacie, pokrytej częścią płótnem, częścią gałęziami. Izba była mała, duszna, pozbawiona wszelkich wygod i ozdób. Na środku stał stół, a na nim kaganek z olejem, w którym paliły się włókna papyrusa. Obok stołu stał kapłan, trzymając w ręku zwój zapisany hieroglificznymi znakami.

Amonorytiusz podniósł się na widok wchodzących, spojrział groźnie bo w Greku poznał Agezyłusa

— Przychodzimy do ciebie, wodzu, — odezwał się ten, nie zważając na wrazenie, jakie zjawieniem się swoim wywołał, aby ci oddać pismo Faraona. Cieszy on się bardzo zwycięstwami, o jakich mu donosisz i przysyła księcia Amazyasa, z życzeniem, aby się przy najdzielniejszym wodzu wojsk egipskich sztuki wojowania nauczył.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

(Od Lwa dla A. Op.)

F i W. często na końcu słowa  
Jednakie prawie miewają brzmienie;  
Lecz wyraz zmienia swoje znaczenie,  
Gdy stanie głoska ta albo owa,  
I tak: weź wyraz, który W kończy,

Ze czterech tylko głosek złożony,  
Będzie ścieg igłą, nicią zrobiony,  
W bieliźnie, sukni, albo opończy;  
To W na F zmień, a jednym pióra  
Pociąganiem, ujrzyś wtedy odrazu  
Wodza oddziału, zwierzchnika biura,  
Który wydaniem swego rozkazu  
Dzierży porządek. Tak to sens słowa  
Jedna litera zmienia końcówka.

### Łamigłówka kryształowa.

(Od Sztubaka dla Karpika).

1. Spółgłoska.
2. Miesiąc.
3. Cesarz rzymski.
4. Rzeka w Ameryce.
5. . . . .
6. Fizyk włoski.
7. Drzewo iglaste.
8. Rzeka wpadająca do Wołgi.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery tworzą nazwisko sławnego hetmana polskiego.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

#### Zadania konikowego:

Zeszły już starzec, gdy na rękę trzyma  
Dziewczę ledwie trzymiesięczne,  
Już się śmiejące, z piękniemi oczyma,  
Świeże i ładne, i wdzięczne,  
Matka, widząc z słodką chlubą  
W objęciu starca dziecinę swą lubą,  
Zawoła: Gdy się w ten obraz wpatruję,  
Zda mi się, że Noe Jutrzenkę piastuje.

Niemcewicz.

(Wiersz, wypowiedziany na chrzcinach pierworodnej córki Mickiewicza, którą Niemcewicz do chrztu trzymał).

#### Łamigłówki trójkątnej:

J a c h o w i c z .  
A l i g a t o r  
C e l e b e s  
H e l e n a  
O r z e ł  
W i n o  
I n n  
C o  
Z

**TREŚĆ:** Kwiaty tatrzańskie (z drzew.) — Poza domem, powieść (c. d.) — Z młodości Cyrusa, wiersz p. M. L. — Słonie i bawoly (z drzew.) List do towarzyszek ze wsi p. Zosię. — Bohater tebański, powieść z czasów starożytnych. — Łamigłówki i rozwiązania. **W dodatku:** Przygody rodziny jeźów p. M. J. Z. (z drzew.) — Panna Gniewalska wierszyk p. M. Z. — Gucio awanturnik p. Kazimierę. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Osadnicy kanadyjscy naśladowanie angielskiej powieści kapitana Marryat'a.

## PRZYGODY RODZINY JEŻÓW.

Już wieczór, słońce zaszło, cicho wszędzie dokoła, więc pan Jeż ostrożnie wysuwa się z nory, pora już rozpocząć łowy. Później trochę i pani Jeżyna pójdzie na polowanie, musi przecież pożywić się sama, a i dziatwa dużo jeść potrzebuje, bo rośnie. Ale pani Jeżyna jest wzorową gospodynią, więc wprzód chce w mieszkaniu wszystko uporządkować, gdzie są dzieci, tam nigdy nie braknie zajęcia. Odprowadziła męża o kilkanaście kro-

Cóż to za wyborny podwieczorek. Obiecał wprawdzie żonie, że jej przyniesie jakąś zwierzynę dla dzieci, ale jest jeszcze czas na to. Zresztą, ona przecież jest matką, starania około gospodarstwa domowego głównie do niej należą.

Spożywszy myszkę ze smakiem, idzie pan Jeż dalej i czuje, że nie jest zupełnie nasycony, myszka taka mała jeszczeby chętnie sam cokolwiek przetrącił, nim pomyśli o zapasach dla rodziny. Coś wśród suchych liści zaszleściło pod drzewem: może żabka, jaszczurka, może i ptaszek jaki nieostrożny, nie przeczuwając niebezpie-



Rodzina jeżów.

ków, przypominając mu, że dobry ojciec, choćby miał najlepszy apetyt, powinien zawsze o rodzinie pamiętać, potem powraca do nory.

Bardzo tu państwo Jeżowie pięknie się urządzili, napotkali w lesie norę gotową, porządną i obszerną, musiało to być kiedyś zimowe schronienie lisa, ale że stało opróżnione, więc każdemu wolno zająć mieszkanie bez gospodarza. Dawniejszy właściciel zapewne zginąć musiał z ręki myśliwca, państwo Jeżowie wcale nad tém ubolewać nie myślą, wszak lis to odwieczny wróg ich rodu.

Śliczny wieczór, pewnie też różne stworzenia zechcą korzystać z ciepła i pogody, wybiorą się na przechadzkę, a pan Jeż skorzysta z tego... oho! jak na toż nieroztropna myszka biegnie tuż, tuż obok niego, cap! już ją ma.

czeństwa, skacze sobie po ziemi, oj, żebyż to się dał złapać! Mięso ptasie, to przysmak nielada, pan Jeż zawsze tylko ubolewa nad tém, że ptaki mają skrzydła, żeby nie to, takby je łatwo było łapać.

Co to może być? niedarmo liście tak szeleszczą, wiatru wcale dziś niema, już tam niezawodnie siedzi jakaś żywa istota, tylko trzeba się zakraść bardzo ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć. Zakrada się więc pan Jeż, zakrada, aż tu nagle z liści wyskakuje obrzydliwa gadzina i skacze mu do oczu. Przywykła do tego, że jej się boi każde stworzenie, większe nawet i silniejsze od niej, wszystko co żyje ucieka od jadowitej gadziny, bo ukąszenie jej, jeśli nie zabije, to przynajmniej okropne zapalenie i ból dotkliwy sprawia. Myśli więc, że i teraz będzie tak samo.



Ale pan Jeź nie obawia się wcale, żartuje sobie z ukąszenia i jadu, nie cofnie się przed takim nikczemnym nieprzyjacielem; rzuca się odważnie na gadzinę, ona go w pyszczek kąsa, on ją zębami chwyta za szyję, ona się znów wyrwa i kąsa go w język. O, tego już nadto! poczekaj, ty niegodziwa gadzino, chwile twoje są policzone. Bohaterski jeź skacze na przeciwniczkę, przyniata ją pazurami do ziemi, a ostremi zębami, jakby nożem odcina jej głowę.

Mięso gadziny nie jest wprawdzie tak smaczne, jak ptasie, ale na dobry apetyt się przyda, więc pan Jeź zjada sobie w najlepsze, śmiejąc się z tej niemądrej gadziny, która sobie wyobrażała, że go swoim ukąszeniem nastraszy i pokona. Widocznie nie miała jeszcze do czynienia z jeżami, nie wie, że dzielny ten ród z dawien dawna walczył z gadzinami i zawsze zwyciężał, a jadu się nie obawia, bo ten żadnego wpływu nie wywiera na jeża.

Teraz już należało pomyśleć o dzieciach i pan Jeź, spałaszowawszy połowę gadziny od szyi, drugą połowę od ogona postanowił żonie odnieść, aż tu patrzy, biegnie pani Jeżyna i niesie w pyszczku małego ptaszka.

— Patrz, męźulku — woła z daleka — jaka mi się gratka trafiła; musiało to niebożątko wypaść z gniazdka, a latać jeszcze nie umie, choć już tłuściutkie i opierzone. Badaż dzieci miały wyborną wieczerzę.

— Słuchaj, kochanko — mówi pan Jeź, obliżując się — ja tu mam co innego na wieczerzę dla dzieci, a tego ptaszka zjedzmy lepiej sami po połowie. Toż i my potrzebujemy sił i zdrowia, żeby tę dziatwę wychować.

— Gadzina! upolowałaś gadzinę — woła pani Jeżowa — ależ ta złościca musiała się bronić, pokąsała cię pewnie, biedaku.

— Ej, co tam, fraszki, już mię nic a nic nie boli. — Jeź odrzecz — cóż, czy zgoda, żoneczko, zjemy sobie oboje tego ptaszka, dzieci będą miały aż nadto gadziny.

— Patrzcie go — woła pani Jeżyna oburzona — będzie najsmaczniejsze kąski sam zjadał.

— Ależ nie sam, tylko z tobą, żonusiu...

— Nie, nie, nic z tego — mówi pani Jeżyna, nie zważając na te przymilenia — ja już najadłam się do syta chrząszczów i żuków, takie ich mnóstwo znalazłam pod jednym drzewem, teraz wszystko zaniosę dzieciom.

Pan Jeź westchnął, ale wie, że z żoną trudna rada, więc oddaje jej gadzinę, a sam wybiera się iść dalej, gdy wtém nagle głośne szczekanie psa słyszeć się daje w pobliżu.

— Nieszczęście! nieszczęście! — woła pan Jeź, nie na żarty przestraszony — pewnie tu i ludzie idą z tym psem, uciekajmy.

Pani Jeżyna z wielkiego przerażenia ptaszka wypuściła z pyszczka i zaczęła zmykać jak strzała, ale pan Jeź, po sutym podwieczorku, nie mógł biegać tak szybko, po chwili usłyszał szczekanie psa tuż przy sobie, więc chwycił się ostatniego środka ratunku, skrzył się w kłębek, nasrożył kolce i gdy go pies dogonił, ujrzał przed sobą kulę, najeżoną ostremi kolcami.

Warto było widzieć wściekłość psa; co chwyci łapą jeża, to natychmiast i odskoczy, piszcząc z bólu, nie daje jednak za wygraną, bo nie chce uwierzyć, aby nie

potrafił pokonać takiego małego stworzenia, on, co nieraz z lisem walczył zaszczytnie. Pan Jeź jest pomimo to w okropnym strachu, strumyk niedaleko, gdyby ten pies go popchnął w tę stronę, gdyby wpadł w wodę, byłoby po nim, bo musiałby się przeciwieź od utonięcia ratować, i wydobyć łapki i pyszczek z pod ochronnego pancerza. Ach! chytre lisy nieraz tym sposobem pokonywają biedne jeże, na szczęście psy tego rozumu nie mają.

Byłby się jakoś pan Jeź i wykręcił może, znużywszy psa, lecz na nieszczęście, jak sam to przewidywał, za psem szli ludzie. Było to towarzystwo złożone z młodzieży, z uczniów i pańienek. Ną widok jeża powstał gwar niedoopisania, wszyscy przyglądali się zwierzątku, a niektórzy poraz pierwszy w życiu je widzieli. Jeden najstarszy chłopiec odpędził psa, a sam pochylił się nad jeżem, rozłożył kolce jego na dwie strony i chwytając je rękami, podniósł zwierzątko w górę.

— Zabierzemy go z sobą! — zawołano chórem — cóż to będzie za uciecha!

Ach! dla nas uciecha, a biedny pan Jeź prawie od przytomności odchodzi ze strachu. A tam w domu znów nieszczęśliwa Jeżyna zalewa się gorzkimi łzami i łapki załamuje z rozpaczy, dzieci także okropnie lamentują.

— Biedne wy sieroty! biedna ja wdowa! — woła pani Jeżyna — ojciec wasz pewnie nie wyszedł cało z tej przygody, skoro nie wraca.

W godzinę dopiero przypomniała sobie dobra matka, że dzieci nic nie jadły, bo ona ze strachu zapasy żywności porzuciła w lesie, więc otarła łzy i zaczęła się wybierać na polowanie. Lecz jakaż była jej radość, gdy o kilka kroków od mieszkania spotkała ukochanego swego męźulka, który zdrow i cały powracał.

Po pierwszych wykrzyknicach i powitaniach pan Jeź opowiedział żonie, jak go ludzie zabrali, nieśli do swego domu, jak uważał się już za zgubionego, gdy jedna z pańienek zaczęła prosić chłopców, żeby go wypuścili. Prosiła tak serdecznie, tak umiała im przedstawić, że nie godzi się dla własnej uciechy męczyć biednego zwierzątko, aż w końcu ich przekonała. Pan Jeź odzyskał tedy swobodę, powrócił do rodziny i nie tracąc czasu oboje z żoną pobiegli po gadzinę i ptaszka; znaleźli wszystko w całości, a po drodze upolowali jeszcze myszkę i mnóstwo przepysznych chrabąszczów, więc cała rodzina wyprawiła sobie wspaniałą ucztę. Wszyscy błogostawili dobrą pańienkę, której to szczęście zawdzięczali.

M. J. Z.

## PANNA GNIEWALSKA.

Raz pańienka jedna mała  
Na siostrę się pogniewała  
I powiada do mamusi:  
„Andzia mię przeprosić musi”  
Ale na to rzekła mama:  
„To ty Andziu przeproś sama,  
Żeś na siostrę się gniewała,  
I zły przykład przeto dała”.

M. Z.

## GUCIO AWANTURNIK,

przez Kazimierę.

(Dalszy ciąg).

— Nic nie szkodzi — rzekła Dziunia — tym sposobem utrwalają się wiadomości w pamięci. Więc jak była ta bitwa pod Chocimem — mówiła Dziunia dalej — tak jeden Polak, Jan Rzeszot, zabrany został do niewoli przez Turków. Był to chłopak młody, miał lat dwadzieścia trzy, zostawił rodziców i dwie młodsze siostrzyczki, i poszedł na wojenkę. Matka za nim płakała, ale go nie zatrzymywała, bo już to był wstyd wielki dla tego, kto w domu siedział podczas wojny. I siostry bardzo płakały, bo kochały Janka niezmiernie, tylko ojciec dodawał odwagi wszystkim, mówiąc: „idź synu w imię Boże, nie na jednej byłem i ja wojence, a żyję, i gdyby nie to, że mi kule nogę urwały, byłbym i dziś poszedł z tobą”.

Poszedł więc Janek, i bił się z innymi mężnie, a hetman miał na niego oko, widział więc, jaki to dzielny żołnierz.

Ale gdy Turcy pierzchali, nasz Janek zapędził się za nimi niebacznie, i Tatarzy obścapiłi go w koło, zarzucili na niego pęta, przywiązali do konia, i pognali z sobą w niewolę.

Po skończonej bitwie próżno Jan Sobieski wyglądał walecznego Janka, kazał go szukać nawet pomiędzy poległymi, ale daremna to była praca, nie wszyscy go znali, więc i znaleźć nie mogli, choćby tam był i leżał. Hetman był pewny, że męzny młodzieniec poległ waleczną śmiercią i żał mu go było bardzo. Tymczasem Janka przypędzili Turcy do swego kraju i zaprzęgli do bardzo ciężkiej pracy. Musiał biedak wozić kamienie taczkami, do których go przykuli, bojąc się, aby nie uciekł, a bez litości poganiali go ostrym biczem, smagając po obnażonych plecach, z których nieraz krew ciekła strumieniem.

— Biedny — szepnęła Jadwisia z łezką w oku — o! niegodziwi Turcy, żeby tak znęcać się nad człowiekiem.

— Jabym się nie dał bić — rzekł Stefcio rezolutnie, a oczki mu błyszczały odwagą — jabym ich tam wszystkich pozabijał.

— A ty, Guciu, cobyś zrobił? — zapytała Dziunia chłopczyka.

— Ja... jabym krzyczał, tupał nogami, niechciałbym ciągnąć taczek — odpowiedział z wahaniem.

— Kiedy oni nie pytali, czy kto chce, tylko bili i ciągnąć kazali — rzekła Dziunia — a tupania i krzyków wcaleby się nie zlekli. Otóż widzisz, porównaj teraz, czy ty jesteś takim niewolnikiem?

Gucio westchnął, nie odpowiedział jednak na pytanie Dziuni, tylko rzekł:

— Mów dalej, co się z nim stało.

— A czy to tak się prosi starszej siostry? — rzekł Stefcio — mówisz tak niegrzecznie, że gdybym był na miejscu Dziuni, to nie powiedziałbym ani słowa.

— Bo ty, Stefciu, jesteś starszy, masz rozumu więcej, zatem wiesz, że grzeczność dla każdego to obowiąz-

zek dobrze wychowanych dzieci — rzekła Dziunia — wstydzilibyś się pewnie, gdyby cię kto nazwał ostem, albo wilkiem między owieczkami.

— Proszę Dziuni, a cóż dalej stało się z tym Jankiem? — zapytał Gucio, spuszcżając główkę — może nam to Dziuniczka jeszcze powiedzieć, czy dobrze?

— Bardzo chętnie — odpowiedziała Dziunia — dla moich kochanych, grzecznych braciszków i siostrzyczki wszystko lubię uczynić. Słuchajcie więc dalszych losów tego biedaka. Gdy tak Janek musiał ciągnąć taczki od rana do nocy, przy nędznem i lichem pożywieniu, jakie mu Turcy dawali, ze zmęczenia i głodu zachorował ciężko i dnia jednego próżno go smagali biczem, zmuszając do zwykłej pracy, on, co postąpił parę kroków, to padał na ziemię, a z ust spieczonych gorączką, wydobywały się bolesne jęki. Wtedy Turcy poznavszy, że jeniec jest chory, zaprowadzili go do szopki pełnej nieczystości i tam na garści słomy w kącie porzucili, jak bydlę jakie.

Widzisz więc, Guciu, jaki jest los niewolników, i czy podobny do twego? Gdy ciebie parę dni temu zabolęła główka, mama sama cię położyła w wygodne i miękkie łóżeczko, nie odstępując ani na chwilę, a wszyscy chodziliśmy na palcach i mówili cicho, aby Gucio nie zrobić przykrości. Wszystko, czego tylko zachciałeś, było spełnione natychmiast, aby choremu nic nie odmówić; a tamten biedak niewolnik w brudnej szopie leżał na garstce słomy i nie było komu podać mu kropli wody bo ust spieczonych gorączką. Leżał biedak i wywiał imienia Boga, i Najświętszej Panny Częstochowskiej, aby go wyratowali, i wyzwolili z rąk mużułmańskich.

— A czy go Pan Bóg wysłuchał? — zapytał Gucio, patrząc smutnymi oczkami na siostrę — czy wyszedł od tych szkaradnych Turków?

— Zaraz się dowiesz — rzekła Dziunia — Pan Bóg, mój braciszku, nie opuszcza nigdy tych, którzy się polecają Jego opiece, którzy Go kochają i są dobrzy, a Janek wszystko to spełniał, i dlatego został wybawiony z niewoli.

Gdz tak już trzeci dzień leży chory i opuszczony, a było to w czwartym roku jego niewoli. naraz wchodzi do szopki jeden z jego dozorców i każe mu iść do pana. Widząc jednak, że Janek nie może się poćnieść o własnych siłach, zawołał drugiego, i zaprowadzili go przed baszę, który siedząc na dywanie i paląc fajkę, rozmawiał przez tłumacza z jakimś dwoma panami, stojącymi opodal. Na widok wprowadzonego młodzieńca, poskoczyli ku niemu ci dwaj obcy i zaczęli mówić po polsku, a Janek, usłyszawszy mowę rodzinną, zemdlał ze wzruszenia. Ocucili go i zabrali zaraz ze sobą, doglądając troskliwie i łagodząc jego cierpienia.

— A jak oni wiedzieli, że on tam jest w niewoli u Turków? — zapytał Gucio.

— Że to był Janek, nie wiedzieli tego — odpowiedziała Dziunia — ale król Sobieski dbał o to, żeby swoich nie zostawić w jassyrze, czyli w niewoli, i dlatego starał się aby wszystkich, bądź zamianą, bądź pieniędzmi, albo też warunkiem umowy powrócić do kraju. Gdy więc Janek wyzdrowiał o tyle, że mógł znieść trudy podróży,

wybrali się zaraz w drogę i po kilku tygodniach stęsknieni rodzice i siostry, które przez ten czas powyrastały na duże panny, witali ze łzami wracającego jeńca, a i poznać go było trudno. Jeszcze więcej płakali, gdy zobaczyli na rękach i nogach ślady kajdan, które Janek nosił przez cztery lata.

(d. c. n.)

## SZARADA.

(Od Amora dla Jowisza).

*Pierwsza trzecia* płynie, jest to bowiem rzeka,  
*Zaś druga i trzecia* na poprawkę czeka.  
A i *wszystko* także, tam gdzie pozostanie,  
Potrzebne mu zawsze bardzo sprostowanie.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 26-go.

Szarady:

Ser — du — szko.

## Skrzynka do listów.

**P. M. F. w H.** Roboty konkursowe z zagranicy najlepiej przeżywać przez wydarzoną okazyję bo inaczej z odebraniem byłyby wielkie trudności.

**Dzierlatka z nad Zharu** pozdrawia *Bławatkę z nad Horynia*. *kochana pani* miewa się lepiej i jest na wsi. Nie zawsze można pomieścić wszystko czegoby pragnęli nasi korespondenci. Przyjdzie czas i na zagadkę historyczną za zebrane rs. 9 dla koloni letnich i rs. 1 dla biednego rękawicznika serdecznie dziękujemy. Biedni modlić się będą za Kuropatewkę.

**Wróbliczki z pod Zamościa** logogryfy rozpatrzmy i damy odpowiedź czy mogą być umieszczone

**Skoczce** za korespondencją dziękujemy i prosimy o dalsze. Żądany numer posłany. Radzi jesteśmy że braciszek o nas nie zapomina.

**Wielkopolanka** uradowała nas bardzo swoją pamięcią, prosimy o nią i nadal, nie mamy żalu za inne przeznaczenie złożonych pieniędzy, bo cel na który oddane zostały był równie chwalebny, a nam to nie cierpiał zwłoki; korespondencyi czekamy z upragnieniem tem większem, że pochodzić będą od nowiej przyjaciółki.

**Koteczka białej** dziękujemy za rubla dla ubogich, żądane numery i dodatek posłemy wtedy gdy nam Koteczka przysła swój adres którego powinien być przy każdym żądaniu przesyłki, niepodobna nam bowiem odszukiwać go gdy list podpisany był tylko pseudonimem.

**Stokrotce z nad Bzury.** Witamy z przyjemnością nową korespondentkę, przesyłamy żądany numer i cieszymy się że Wieczory wyczekiwane bywają z upragnieniem.

**Szczebiotce** życzymy wesolej zabawy na wsi, liściki jej będą nam zawsze mile.

**Wydrę** pozdrawiamy serdecznie równie jak i braciszka jej *Młoteczka* któremu dziękujemy bardzo za przesyłkę dla koloni letnich.

**Kuropatewce z nad Ikopetiu** za pamięć dziękujemy i prosimy o należenie do konkursu.

**Porzeczką czarną z nad Bystrzycy** donosi Saronce z nad Moroczuzę że jej na imię Amalja ma lat 10 pisywałaby do niej częściej ale się obawia ją znudzić zapytuje przytem czy Porzeczką zna Lublin i jego okolice?

**Miś Borowy** całuje *Kominiarczyka* pierwszy raz do niego pisze za pośrednictwem Wieczorów, ma lat sześć i prosi aby mu Kominiarczyk odpisał choć może jest starszy.

**Zygmunt S. w Kow. gub:** ścisła *Dęba z nad Dubniczanki* również jak jego braciszka i zapytuje czy Dąb uczyć się będzie dalej w domu czy w szkole?

**Wiochna z pod Lublina** dziękuje *Laszce i Prymulce* różówkę za ich liściki, pyta czy nazwisko Laszki zaczyna się od Prz: i czy bratowa jej jest Lublinianką? gdyż wtedy byłyby lepiej znajome. Podziela zdanie o konkursie Kazia życzy pomyślnych egzaminów i wesolej wakacji.

**Topolka z nad Kodemy** przeprasza *Topolkę z nad Wisły* że zajęta egzaminami długo jej nie odpowiadała, po wakacjach będzie umieszczona na pensji klasztornej w Krakowie i nie będzie mogła korespondować. Tymczasem dziękuje za szaradę, którą zaraz odgadła i donosi przesyłając uściśnienie że lubi najwięcej naukę historyi i rysunku.

**Wydra** pozdrawia *Trzy Turkaweczki* i prosi o doniesienie gdzie przepędzą wakacje?

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Zygmunt S. rs. 1 Kózka ukraińska rs. 3 Kropelka ze Śniwody rs. 5 Stasia K. rs. 1 Jaskółka z nad Prypeci kop. 50 Niebieskooka kop. 60 Młoteczek kop. 50. M. G. rs. 1 kop. 70. T. Z. rs. 8 Lucio Adas i Stefio rs. 3. Trębacz z nad Zharu rs. 1. Dzierlatka z nad Zharu rs. 1. Kuropatwa z nad Ikopetiu rs. 8. Stokrotka z nad Stochodu kop. 15. Ianinka W. rs. 1. Na biednego rękawicznika Kuropatwa z nad Ikopetiu rs. 1. Dla biednego ucznia Zosia i Iadzia z Koškowa rs. 1 dla biednych Koteczka Biała rs. 1. M. G. rs. 1 kop. 70.

## DO WSZYSTKICH.

Z wyjściem dzisiejszego numeru Wieczorów dla części ich Redakcyi nadeszła pora wakacyjnego wyjazdu z miasta, dla tego też do swego powrotu zachowuje jak zwykle osobiste korespondencye z kochanymi czytelnikami pozostawiając na późniejszą odpowiedź na listy nadeszłe w tej porze, a odpisując jedynie na odebrane wcześniejsze. Żegnając miłych korespondentów naszych do widzenia, polecamy ich pamięci ogłoszony konkurs dla panienek i wypracowań z opisem wakacyj dla ich braci.

## Numer 12-ty.

### PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSEDE I ZAWIERA:

Od Administracyi. — Z przyczyny wystawy higienicznej. Muzeum pedagogiczne. Przez Florjana Łagowskiego. — Dr. Karol Volkmar Stoy. Napisał Antoni Rink — kolonie kąpielowe. — Wypracowania polskie. Opowiadania. Przez S. B. — Słójd czyli nauka zręczności w Galicyi. (Dokończenie.) — Próba lekcji o rzeczach O deszczu. Przez J. Wł. Dawida. (Ciąg dalszy.) — Wskazówki metodyczne do nauki początków języka ojczystego w ogólności a do czytania w szczególności, przez A. Jurgielewicz. (Ciąg dalszy.) — Sprawozdania. Słownik synonimów polskich, Biskupa Adama Stanisława Krasieńskiego D-ra Teologii. — Z życia: Z wystawy higienicznej. Ogólne wrażenie. — Zakład leczniczo-pedagogiczny Teresy Platz w Sassenhof pod Rygą. — W dodatku: Zarys geografii powszechniej (rozumowej), napisał Wacław Nałkowski. (Z drzeworytami, — ark. 12-ty.) — T. Filicera: Metoda nauki rysunku oparta na zasadach naukowych. (Z drzeworytami i tablicami litografowanymi, 12-ty.)